

NIE ZAMIERZAM PODEJMOWAĆ ŻADNEJ POLEMIKI

**WOKÓŁ MITU „BYDGOSKIEJ KRWAWEJ NIEDZIELI”
Z PROF. WITOLDEM KULESZĄ ROZMAWIAJĄ PAWEŁ
KOSIŃSKI I BARBARA POLAK**

B.P. – Centralnym zagadnieniem naszej dzisiejszej rozmowy jest nie tyle opisanie tego, co stało się w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r., lecz refleksja nad tym, jak te wydarzenia zostały osądzone zarówno przez historię, jak i, a może przede wszystkim, przez prawo. Mit „Krwawej niedzieli” wraca w tej chwili w dość nieoczekiwany sposób na łamy gazet, budząc różne emocje. Wynika stąd potrzeba, by po raz kolejny przyjrzeć się wydarzeniom, które miały miejsce sześćdziesiąt kilka lat temu. Konieczność ta jest tym pilniejsza, że trwają polsko-niemieckie dyskusje wokół idei utworzenia Centrum Wypędzonych. Po raz kolejny zastanawiamy się nad naszymi relacjami, robimy rachunki krzywd. IPN ma tutaj do odegrania szczególną rolę, ponieważ dysponuje aparatem, który pozwala – mam nadzieję – wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

W.K. – Na wstępie muszę uczynić pewne istotne zastrzeżenie, ważne dla dalszego ciągu naszej rozmowy. Wojna *de iure* zaczęła się dopiero 3 września 1939 r., w chwili deklaracji rządów Francji i Wielkiej Brytanii o wypowiedzeniu wojny Niemcom, wobec tego mówimy o wydarzeniach, które wynikały ze stanu bezprawia w rozumieniu prawa wojny, spowodowanego napaścią niemiecką na państwo polskie bez wypowiedzenia wojny. Moja wiedza na temat tego, co miało miejsce przed wybuchem wojny i w czasie jej trwania, mieści się w ramach wyznaczonych przez prawo karne. Przedmiotem mojej wiedzy jest to, co ustalono w toku prowadzonych śledztw najpierw przez działającą od 1945 r. Komisję Badania Zbrodni Niemieckich, potem Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich, następnie Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i wreszcie Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, która stanowi pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej. Ramy wiedzy prawnika karnisty wyznacza stan prawny, na którego podstawie dokonuje się oceny zdarzeń. Sprawa „bydgoskiej krwawej niedzieli” pokazuje, że dla opisu całości zdarzeń niezbędna jest zarówno refleksja historyka, jak i refleksja prokuratora. W tym sensie, że ta ostatnia bazuje na wiedzy historycznej ocenianej przez pryzmat prawa karnego, wyznaczającego ustawowe zadania prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej. To, co chciałbym państwu przedstawić, jest tylko fragmentem wiedzy, jaką dysponują historycy, prezentowanym w re-



fleksji prokuratorskiej. Na wstępie sprowadza się ona do pytania o ocenę prawne tego, co stało się w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r.

B.P. – Ocenę takiej dokonuje prokurator Instytutu Pamięci Narodowej – Głównej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu na gruncie nie tylko prawa polskiego, ale – jak myślę – także międzynarodowych konwencji, choćby tych dotyczących zasad prowadzenia wojen.

W.K. – Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej jednoznacznie zawiera stwierdzenie, że jego pion śledczy uprawniony jest i zobowiązany do ścigania zbrodni nazistowskich, komunistycznych, zbrodni przeciwko pokojowi i przeciwko ludzkości, a także zbrodni wojennych. Nie wykraczając poza swoje kompetencje, mogę odpowiedzieć na pytania – czy w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r. dokonywano zbrodni wojennych, kto tych zbrodni dokonywał, czy to, co działo się wtedy, było zbrodnią przeciwko ludzkości w takim sensie, że ginące ofiary traciły życie tylko dlatego, że należały do narodowości niemieckiej, czy to, co później miało miejsce, czyli masowe egzekucje Polaków uzasadnione odwetem za zbrodnie popełnione na Niemcach, było zbrodnią nazistowską w rozumieniu ustawy o IPN. Punktem wyjścia refleksji prawnej musi być odwołanie się do konwencji haskiej z 1907 r., która określiła zasady prowadzenia wojny lądowej. Według załącznika do tej konwencji, stroną walczącą, a więc tą, której przysługują prawa kombata, jest również ludność cywilna terenu nieokupowanego (należy podkreślić to sformułowanie – „terenu nieokupowanego”), która spontanicznie chwyta za broń, żeby przeciwstawić się zbrojnej napaści wroga, a nie ma jednocześnie wystarczająco dużo czasu, by zorganizować się w wojsko, tj. włożyć jednolite mundury i działać pod jednolitym dowództwem.

B.P. – Innymi słowy, polscy uzbrojeni cywile byli w świetle prawa międzynarodowego żołnierzami, mogli też wymierzać ową szczególną sprawiedliwość czasu wojny.

W.K. – Cywilna ludność polska w Bydgoszczy, dokonując egzekucji na Niemcach czy w nich uczestnicząc, miała status strony walczącej, a to znaczy, że członków strony walczącej strona zwycięska nie mogła sądzić za zabójstwa dokonane w walce. Wszystkim cywilnym mieszkańcom Bydgoszczy, którzy chwycili za broń 3 i 4 września, przysługiwał po wkroczeniu niemieckich oddziałów do miasta status jeńców wojennych. Jeńców wojennych nie sądzi się za to, że dokonywali zabójstw tych, których uznano za przeciwników, za uczestników niemieckiej dywersji. Pozwala to na stwierdzenie, że 3 i 4 września polska ludność cywilna działała zgodnie z konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej, miała status strony walczącej i samorzutnie chwytając za broń w obliczu zagrożenia ze strony zbliżającego się do miasta Wehrmachtu, działała zgodnie z konwencją, a więc przysługiwała jej ochrona taka, jak jeńcom wojennym.



B.P. – Czy ofiarami zdarzeń w Bydgoszczy 3 i 4 września byli rzeczywiście dywersanci niemieccy, czy też była to Bogu ducha winna ludność niemiecka, obywatele polscy narodowości niemieckiej, która utraciła życie tylko dlatego, że sprawcy rozpoznawali narodowość niemiecką ofiar? Co na ten temat mówi prawo narodów?

W.K. – Niektórzy obywatele polscy narodowości niemieckiej, w tym mieszkańcy Bydgoszczy – potwierdzają to meldunki polskich oddziałów, które odnaleźliśmy w archiwach wojskowych – brali udział w dywersyjnych działaniach przeciw Polakom, przede wszystkim przeciw polskiemu wojsku. Dlatego też działania polskiej ludności cywilnej w Bydgoszczy, legitymowane konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej, były zgodne z prawem międzynarodowym. W ramach zwalczania niemieckiej dywersji dokonywano egzekucji na Niemcach nie dlatego, że byli Niemcami – padli oni ofiarą podejrzenia o to, że współdziałali w dokonywaniu aktów dywersji przeciwko polskiemu wojsku. W moim przekonaniu było to podejrzenie uzasadnione także tym, co wcześniej wyływało z Bydgoszczy do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i co umożliwiło później sporządzenie list Polaków przeznaczonych do egzekucji. Wobec tego pierwsza konkluzja sprowadza się do stwierdzenia: nie była to zbrodnia przeciwko ludzkości, nie zabijano Niemców dlatego, że byli Niemcami, lecz z powodu podejrzenia o uczestniczenie w działaniach dywersyjnych. Ponadto nie była to zbrodnia wojenna z tego względu, że sprawcy egzekucji – polska ludność cywilna – działali w zgodzie z konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej. W tym stanie rzeczy nie ma podstaw prawnych dla prowadzenia śledztw przez prokuratora IPN, ale otwiera się równocześnie szerokie pole dla refleksji natury historycznej.

B.P. – Czy wiadomo coś więcej o agenturalnej czy też dywersyjnej roli odgrywanej przez niemiecką mniejszość na Pomorzu przed wojną i tuż po jej wybuchu?

W.K. – We wcześniej prowadzonych śledztwach ustaliliśmy, że przed niemiecką napaścią na Polskę w Bydgoszczy i na terenie całego Pomorza stworzono warunki, w których od początku napadu na Polskę mogły rozpocząć działalność struktury organizacji Selbstschutz. Członkowie tej organizacji, jak sami określali swe zadania, mieli zapobiegać atakom na niemiecką mniejszość ze strony polskiej ludności cywilnej i polskich żołnierzy maruderów. W rzeczywistości jednak od początku swego istnienia do grudnia 1939 r. Selbstschutz działał ludobójczo, tworząc komanda, które dokonywały masowych egzekucji Polaków w ramach akcji likwidacji inteligencji polskiej i polskich warstw przywódczych na Pomorzu. Ta zbrodnicza akcja nosiła kryptonim „Przedsięwzięcie Góra Jodłowa” – „Unternehmen Tannenberg”. Współdziałały w jej przeprowadzeniu także grupy operacyjne pod kierunkiem gestapo oraz jednostki specjalne SS. Akcję tę opracowano w szczegółach w Głównym



Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) pod kierunkiem Wernera Besta. Wiemy, że egzekucji Polaków dokonywano na podstawie list imiennych, które były zestawiane w RSHA w Berlinie. Wiemy, że owe listy imienne sporządził niejaki dr Emil von Augsburg. Po wojnie wysoki funkcjonariusz zachodnioniemieckiego wywiadu – Instytutu Gehlena zatrudniony tam jako specjalista do spraw polskich. O tym, że akcję mordowania polskiej inteligencji przeprowadzono według wcześniej przygotowanych list, wiemy z różnych źródeł, także z bardzo nielicznych procesów, jakie toczyły się po wojnie również w Niemczech. W Bydgoszczy była kwatera kolejnych szefów Selbstschutzu, SS-Oberführerów Wilhelma Langleista, a następnie Ludolfa von Alvenslebena. Od pierwszych tygodni okupacji dokonywano morderstw na Polakach poprzez masowe ich rozstrzeliwania. Od września do grudnia 1939 r. zamordowano w sumie sześćdziesiąt tysięcy Polaków. Wspominam o tej akcji dlatego, że nie mam wątpliwości, iż listy polskiej inteligencji, polskich urzędników, lekarzy, nauczycieli, duchownych sporządzano dzięki informacjom przekazywanym także przez Niemców, obywateli polskich, którzy później, już w uniformach, działali w strukturach Selbstschutzu. Pytany przeze mnie niemiecki historyk Dieter Schenk, od lat współpracujący z Główną Komisją, wyjaśnia, że na Pomorzu istniały wcześniej przygotowane struktury organizacyjne, dlatego akcja wymordowania polskiej inteligencji mogła zostać przeprowadzona na tak wielką skalę tylko na tym obszarze już w pierwszych miesiącach niemieckiej okupacji.

P.K. – Zagadnienie współdziałania polskich obywateli narodowości niemieckiej przy sporządzaniu gestapowskiego Sonderfahndungsbuch Polen nie stało się dotychczas przedmiotem pogłębionej refleksji historycznej. Na Pomorzu była stosunkowo liczna mniejszość niemiecka tworząca swoje zrzeszenia i ugrupowania partyjne. Część tych ludzi współpracowała przy sporządzaniu listy Polaków wrogo ustosunkowanych do niemieckości. Wydaje się jednak, że aż do wybuchu wojny nie było wiadomo, jak ona będzie wykorzystana. Zapewne spodziewano się, że wytypowane osoby będą aresztowane, internowane na czas wojny, być może deportowane. Dopiero po wybuchu wojny w atmosferze wyjątkowej brutalności zaczęły puszczać wszelkie hamulce, a władze niemieckie nie tylko tolerowały zbrodnicze wybryki, ale wręcz do nich zachęcały. Po 1 września 1939 r. stopniowo doszło do stępienia zasad moralnych.

W.K. – Czy Niemcy przed wybuchem wojny zdawali sobie sprawę, czemu służy sporządzanie owych list? Czy ich świadomością i wolą było wymordowanie wszystkich tych, których nazwiska podawano i umieszczano na tych listach? Proszę pamiętać, że obóz koncentracyjny Stutthof niedaleko Gdańska był gotów na przyjęcie polskich więźniów już od początku sierpnia 1939 r. Na pewno byli tacy Niemcy, którzy nie chcieli wymordowania Polaków ani nie wiedzieli, czemu służy podawanie



przez nich nazwisk Polaków, o których pytano. Ale ja nie znam tych konkretnych Niemców, którzy nie wiedzieli i którzy podawali w dobrej wierze nazwiska Polaków, bo przecież przeciwko nim nigdy nie prowadzono śledztwa. Znam natomiast tych innych Niemców, którzy nie tylko doskonale wiedzieli, czemu to wszystko służy, ale wręcz sami dostarczyli dowodów na piśmie, jakie były ich oczekiwania, co zrobić z Polakami. Dlatego przeciwko nim prowadzono śledztwa.

Przykładem jest prof. Hermann Voss, dyrektor Instytutu Anatomii na Uniwersytecie Rzeszy w Poznaniu. Śledztwo w jego sprawie, które prowadziliśmy, było związane z makabrycznymi transakcjami, jakich dokonywał on, sprzedając czaszki i szkielety Polaków i Żydów do gabinetów ras w muzeach europejskich. Hermann Voss pozostawił po sobie pamiętnik. Już w połowie lat trzydziestych napisał w nim: my, Niemcy, musimy rozwiązać polską kwestię bezuczuciowo, „rein biologisch” – czysto biologicznie. Musimy ich wyniszczyć, bo ten prymitywny, słowiański naród mnoży się tak szybko, że nas „zeżre”. Dopiero wtedy zapanuje spokój na wschodzie, otworzy się przestrzeń życiowa dla Niemców, kiedy Polacy zostaną wyniszczeni. Voss przedstawia na kartach pamiętnika swoje marzenie. W podziemiach jego instytutu był piec krematoryjny, gdzie spalano zwłoki ofiar – Polaków i Żydów, których czaszek i szkieletów używano do jego koszmarnej produkcji. Pisze w swoim pamiętniku „jakby to było pięknie, gdyby całe polskie społeczeństwo można było zapędzić do takiego pieca”. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to, co stało się 1 września 1939 r., było realizacją woli bardzo wielu Niemców, przeciwko którym prowadziliśmy śledztwa, jednym z dowodów jest pamiętnik Hermanna Vossa. To było marzenie Vossa i nagle otworzyła się możliwość jego realizacji – stworzenie etnicznie czystej przestrzeni dla narodu niemieckiego. Mam też w pamięci fragment z pamiętnika Vossa, który dotyczy mojego rodzinnego miasta Łodzi. Autor pamiętnika przyjechał do Łodzi i ubolewał, że Poznań to jest jeszcze niemieckie miasto, natomiast w Łodzi widać po architekturze, że przeważały wpływy żydowsko-rosyjskie. Jakież wielkie zadania stoją wobec tego przed nami Niemcami. Łódź przecież jest częścią Rzeszy niemieckiej.

B.P. – Drugim takim Niemcem był gauleiter Gdańska i Prus Zachodnich Albert Forster.

W.K. – Z procesu przeciw gauleiterowi Gdańska i Prus Zachodnich Alberto wi Forsterowi, który toczył się przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym, i z procesu przeciwko szefowi SS i policji w Gdańsku Richardowi Hildebrandtowi oraz komendantowi policji w Bydgoszczy Maxowi Henze wiemy, że chodziło o to, aby jak najszybciej zrealizować plan oczyszczenia terenów Pomorza z ostatniego Polaka. Akcje egzekucyjne na Polakach oceniano w RSHA jako przebiegające zbyt wolno, dlatego też nakazano ich przyspieszenie. Fakty te zostały ustalone w procesach. W niemieckim procesie oskarżony Jakob Löfgen – uczestnik tych egzekucji, dowodzący jednym z komand zabójców – mówił: „ponaglano nas, mówiono, że liczba rozstrze-



lanych we wrześniu jest zbyt mała. Kazano nam z wielokrotności nasze wysiłki. Dlatego sporządzałem fałszywe raporty, żeby zadowolić moich zwierzchników i podawałem dwukrotnie wyższe liczby rozstrzelanych” (choć niemiecki sąd słusznie nie dał wiary tym wyjaśnieniom, to jednak uwolnił oskarżonego od odpowiedzialności karnej z powodu rzekomego stanu wyższej konieczności, w którym musiał dokonywać zabójstw Polaków, aby samemu nie narazić się na ukaranie za nieposłuszeństwo otrzymanym rozkazom). Mówię o tym, ponieważ nie mam wątpliwości, że ten program był przygotowany z góry. Byli tacy, o których nie wiem, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu owego programu, ale byli też i tacy, którzy przez lata przed wybuchem wojny przygotowywali się do jego realizacji. Tych znam – ich nazwiska zawarte są w aktach przeprowadzonych śledztw. Przeciwno nim prowadziliśmy procesy.

P.K. – Czy w świetle konwencji międzynarodowych dywersanci niemieccy, którzy podnieśli rękę na wycofujące się Wojsko Polskie, mogą być traktowani jako strona walcząca?

W.K. – Ludność cywilna na terenie, na którym toczą się działania wojenne, jeśli chwyta za broń, jest traktowana jako uczestnicząca, używając niemieckiej terminologii – w przestępczej partyzantce – „Freischerlerei”. Znaczący to, że ludność cywilna jest chroniona tak długo, dopóki nie uczestniczy w działaniach wojennych przeciwko wojsku państwa, w którym ludność ta zamieszkuje. Od chwili, gdy chwyta za broń po to, żeby udzielić pomocy wrogowi państwa, na którego terytorium zamieszkuje, przestaje być chroniona przez konwencję haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej. Niemieckie prokuratury w okresie powojennym odmawiały jednak uznania, że polskiej ludności cywilnej przysługiwała ochrona przed wkraczającymi niemieckimi oddziałami ustanowiona przez konwencję haską. Przytoczę tu przykład rozumowania niemieckich prokuratorów. Prowadziliśmy bardzo wiele śledztw w sprawach zbrodni Wehrmachtu popełnionych od pierwszych dni września na polskiej ludności cywilnej. Jedno z nich dotyczyło zdarzenia, które miało miejsce 4 września 1939 r. W małej miejscowości, w domu Polaka, przy otwartym oknie golił się niemiecki żołnierz. Do ablucji zdjął mundur. Kiedy przed domem przejeżdżała niemiecka kolumna pancerna, Niemiec zbliżył się do okna, roześmiał się do swoich kamratów i coś krzyknął w ich kierunku. Nie przewidział, jakie konsekwencje pociągnie to, że niemieccy żołnierze zobaczą śmiejącego się mężczyznę, którego wezmą za Polaka. Natychmiast został zastrzelony. Niemiec zastrzelony przez Niemców, którzy wzięli go za Polaka. Co robi dowódca jednostki, która stacjonuje w tej miejscowości?

B.P. – Z pewnością zabija Polaka, w którego domu nocował niemiecki żołnierz.

W.K. – Wydaje rozkaz rozstrzelania dwudziestu Polaków – mieszkańców tej miejscowości, mimo że to Niemcy zabili Niemca. Niemiecka prokuratura





Karta z albumu „Selbstschutz – Westpreußen“
z fotografią SS-Oberführera Ludolfa von Alvenslebena

Archiwum
Głównego Komendanta Bezpieczeństwa
i Porządku w Polsce

Dok. N. 328 / 11 - 9m 4304

OKRĘGOWA KOMISJA
ORGANIZACYJNO-BUDOWLANA
W BYDGOSZCZY

Fot. ze zbiorów IPN



26283

DERFÜHRER v. ALVENSLEBEN



w latach osiemdziesiątych z całą powagą odpowiedziała ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, że brakuje podstaw do uznania, iż była to zbrodnia wojenna, gdyż Polaków zastrzelono w ramach odwetu za śmierć niemieckiego żołnierza. Dowódca, który wydał rozkaz rozstrzelania Polaków, działał w przekonaniu, że to Polacy uczestniczyli w tym zabójstwie. Wcześniej ogłosił, że za każdego zabitego niemieckiego żołnierza rozstrzelanych zostanie dziesięciu Polaków. Umierzając postępowanie, niemiecka prokuratura napisała w uzasadnieniu, że dla prawnej legitymacji rozstrzelania Polaków wystarczyło przypuszczenie dowódcy jednostki, że bezbronnego niemieckiego żołnierza zabili Polacy. Ta opinia kończy się przerażającym stwierdzeniem, że zabijanie partyzantów było powszechnie akceptowaną praktyką do końca II wojny światowej.

B.P. – Czyli, kontynuując tok myślenia niemieckich prokuratorów, to twierdzenie można zastosować także wobec niemieckich partyzantów-dywersantów w Bydgoszczy?

W.K. – Właśnie tak. Gdybym został zapytany przez niemiecką prokuraturę o moje oceny dotyczące zdarzeń w Bydgoszczy przy zastrzeżeniu, że przecież nie wszyscy Niemcy, którzy stracili życie 3 i 4 września, byli dywersantami, to mógłbym odesłać niemieckich kolegów do ich własnego postanowienia i zawartego w nim rozumowania. Oczywiście owo postanowienie niemieckiej prokuratury budzi mój zdecydowany sprzeciw, gdyż oparte jest na błędnej ocenie prawnej wynikającej z niezrozumienia treści przepisów konwencji haskiej, a także pojęcia zbrodni wojennej oraz pojęcia zbrodni przeciwko ludzkości. Nie mam wątpliwości, że Polaków w tej miejscowości, o której wspomniałem, rozstrzelano tylko dlatego, że byli Polakami. W ocenie tej egzekucji zbiegają się zatem pojęcia zbrodni wojennej i zbrodni przeciwko ludzkości. Rozstrzelani Polacy nie brali w żadnej formie udziału w działaniach wojennych, brakowało też jakichkolwiek podstaw dla takiego przypuszczenia, gdyż ludność polska w tej miejscowości bała się nawet kichnąć w sposób, który byłby odebrany jako skierowany przeciwko Niemcom. Wobec tego ludność ta była chroniona przez konwencję haską jako nieuczestnicząca w walkach.

Jeśli chodzi o ludność niemiecką w Bydgoszczy, to musimy pamiętać o tym, co jest zapisane w meldunkach polskich oddziałów. Akty dywersji dokonanej w Bydgoszczy jednoznacznie wskazują na to, że była to akcja prowadzona nie tylko przez zewnętrznych dywersantów, ale dywersantów bazujących w samej Bydgoszczy. Przecięcie kabla telefonicznego, zakopanie jego końcówek w ziemi, wiedza, gdzie przemieszczają się polskie oddziały – wszystko to było oparte na informacjach, które pochodziły z samej Bydgoszczy. Nie mam co do tego wątpliwości. W meldunkach polskich oddziałów znajdują się wzmianki, że oddziały są atakowane przez dywersantów niemieckich, także w cywilnych ubraniach. Rozmawiałem wiele razy z wojskowymi na ten temat i usłyszałem, że w raportach wojskowych bardzo niechętnie pisze się, iż oddział wojska uległ cywilnym

dywersantom i wycofał się, gdyż to obraża honor żołnierzy. Taki zapis meldunku ośmieszać może całą jednostkę wojskową, wykluczam więc, że w meldunkach polskich oddziałów o niemieckiej dywersji podawano nieprawdę po to, aby usprawiedliwić egzekucje na Niemcach w Bydgoszczy 3 i 4 września. Dziennik działań bojowych jednostki zostaje – jest dziennikiem jej chwały, tam się nie pisze rzeczy nieprawdziwych po to, żeby uzasadnić zbrodnie na ludności cywilnej. Honor polskiego żołnierza nie pozwoliłby na pohańbienie dziennika działań bojowych własnej jednostki wpisywaniem nieprawdziwych informacji o niemieckiej dywersji. Dlatego też przypuszczenie takie całkowicie odrzucam. Meldunki polskich oddziałów o tym, że są atakowane przez napastników w cywilnych ubraniach, traktuję jako prawdziwe. Nie mogę jednak tego samego powiedzieć o podobnych zapisach w dziennikach jednostek Wehrmachtu.

B.P. – Dlaczego?

W.K. – Gdy czytam w jednym z takich dzienników, że w nocy jednostka Wehrmachtu była ostrzeliwana przez ubranych po cywilnemu Polaków, mam wątpliwości, skąd wiadomo było, że w nocy wkraczający niemiecki oddział był ostrzeliwany przez polską ludność cywilną, a nie przez umundurowanych polskich żołnierzy.

Sądzę, że wpisy w dziennikach działań bojowych jednostek Wehrmachtu i SS o rzekomym atakowaniu ich w czasie zajmowania miejscowości przez polską ludność cywilną, co miało powodować „dużą nerwowość” żołnierzy tych jednostek i usprawiedliwiać strzelanie do polskich cywili, czynione były po to, by dostarczyć uzasadnienia dla tak-
że masowych egzekucji Polaków w tych miejscowościach.

Zważywszy wszystko to, muszę stwierdzić, że nie ma – w moim przekonaniu – podstaw faktycznych i prawnych do prowadzenia śledztwa w sprawie zbrodni popełnionych 3 i 4 września na niemieckich mieszkańcach Bydgoszczy, gdyż egzekucje, w których zginęli Niemcy, były dokonywane w następstwie rzeczywistych aktów dywersji potwierdzonych w różnych wiarygodnych źródłach. Jestem przekonany, że polska ludność cywilna i polscy żołnierze, dokonując owych egzekucji, działali w uzasadnionym przekonaniu o zwalczaniu niemieckiej dywersji.

Nie mam również wątpliwości co do tego, że pod pozorem zwalczania dywersji dokonywano także zabójstw poszczególnych osób niezaangażowanych w działania dywersyjne. Niemieckie ofiary tych zabójstw były wskazywane polskim żołnierzom jako rzekomi uczestnicy dywersji, co w wielu wypadkach było oczywistą nieprawdą, jednakże zabójstwa te, które mogły być dokonywane również z motywów zasługujących na szczególne potępienie, co czyniło je morderstwami, nie mogą być dziś przedmiotem śledztwa z powodu przedawnienia. Pragnę w tym miejscu z naciskiem stwierdzić, że konstatacja ta w najmniejszym stopniu nie oznacza relatywizowania tych zbrodni. Przedawnienie ścigania nie zmniejsza stopnia winy sprawców ani cierpień ofiar zbrodni. W świetle wiedzy, którą zebraliśmy w toku pro-



wadzonych śledztw, można powiedzieć, że ofiarami byli również przypadkowi Niemcy rozstrzelani dlatego, że poszczególni polscy sprawcy wskazywali ich jako potencjalnych dywersantów, kierując się w istocie osobistą nienawiścią do znanych sobie ofiar, wynikającą z rzeczywistych czy urojonych krzywd z ich strony. Mam w pamięci relację świadka, który mówił, że 3 września został zastrzelony Niemiec – piekarz z ulicy, przy której świadek mieszkał, nielubiany za swą wyniosłość. Później, po wkroczeniu Niemców do Bydgoszczy, żona zamordowanego piekarza zapowiedziała, że wszyscy polscy mężczyźni z tej ulicy zostaną rozstrzelani za to, że wskazano jej męża jako niemieckiego dywersanta. Zabójstwo owego niemieckiego piekarza było oczywistą zbrodnią, choć nie może być dziś przedmiotem śledztwa z tego względu, że nie stanowiło ono ani zbrodni wojennej, ani zbrodni przeciwko ludzkości i jako „zwykłe zabójstwo” uległo przedawnieniu.

B.P. – Jak je odróżnić od zabójstw, które mieszczą się w pojęciu zbrodni przeciwko ludzkości?

W.K. – Postępujemy się w tym celu kryterium ustawowym. Zabójstwo staje się zbrodnią przeciwko ludzkości, gdy powodem zabójstwa jest przynależność ofiary do określonej grupy narodowej, politycznej, społecznej, rasowej lub religijnej. Jeżeli powodem zabójstwa jest osobista nienawiść sprawcy do konkretnej osoby – ofiary zabójstwa, chęć odwetu, zemsty za jakieś rzeczywiste czy wymagane krzywdy, to jest to „zwykłe zabójstwo”, choćby było popełnione z motywów zasługujących na szczególne potępienie. Drugim elementem ustawowej definicji zbrodni przeciwko ludzkości jest dokonywanie tych zbrodni albo ich inspirowanie przez władzę państwa lub też ich tolerowanie. Zabójstwa dokonane na mieszkańcach Bydgoszczy narodowości niemieckiej popełnione przez polskich sprawców przy wykorzystaniu sytuacji, jaka panowała w tym mieście w dniach 3, 4 września 1939 r. nie stanowiły tak rozumianych zbrodni przeciwko ludzkości.

B.P. – W kontekście wydarzeń w Bydgoszczy przywołuje się jednak czasem Jedwabne, a w tej ostatniej sprawie IPN – KŚZpNP wszczął śledztwo.

W.K. – Pragnę wyraźnie powiedzieć, że nie ma żadnego podobieństwa ocen prawnych zdarzeń z 3 i 4 września 1939 r. w Bydgoszczy do oceny prawnej tego, co się stało 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem. W Jedwabnem zamordowano obywateli polskich narodowości żydowskiej, kierując się jedynym kryterium – byli Żydami. Celem polskich sprawców było zamordowanie wszystkich spędzonych na rynek w Jedwabnem Żydów z tej miejscowości: mężczyzn, kobiet, młodzieży, dzieci i niemowląt. Zbrodni tej dokonano z inspiracji władz niemieckich reprezentowanych w dniu zbrodni przez żandarmów z posterunku w tej miejscowości. W Bydgoszczy dokonywano egzekucji na Niemcach z powodu uzasadnionego podejrzenia o branie udziału w dywersji w trakcie działań wojennych, a także



z różnych innych pobudek odnoszących się do konkretnych osób – ofiar zabójstw. Owe zabójstwa niewinnych ofiar, dokonywane na kanwie zdarzeń, nie były jednak ani przez polskie władze inspirowane, ani tolerowane. Z tego też względu nie znajduję żadnego podobieństwa w elementarnych ocenach prawnych tego, co się stało w Jedwabnem, i tego, co się stało w Bydgoszcy.

Czymś innym są zbrodnie niemieckie popełniane od 5 września 1939 r. w postaci masowych egzekucji Polaków, seryjnie skazywanych na kary śmierci przez niemieckie sądy specjalne. W sprawach tych zbrodni prowadzimy śledztwa. Po wejściu Niemców 5 września 1939 r. do Bydgoszcy dokonywano masowych egzekucji Polaków. Niemcy nie mieli prawa stawiać przed swoimi sądami i skazywać według własnego prawa Polaków, którzy uczestnicząc w zwalczaniu niemieckiej dywersji, zyskali status kombatantów.

P.K. – Niemcy też chyba nie mieli prawa stawiać przed sądami ani doraźnymi, ani specjalnymi tych sprawców, którzy dopuścili się zwykłych zabójstw.

W.K. – Oczywiście.

B.P. – Była to przecież właściwość sądu w Bydgoszcy.

W.K. – Polska ludność cywilna, której przysługiwał status strony walczącej, mogła być potraktowana tylko jako jeńcy wojenni, których się nie sądzi za zabójstwa przeciwnika. Dlatego też te procesy przeciw Polakom były bezprawne, a skazania na karę śmierci zbrodnicze. O tym, że wydawano wyroki śmierci na polskich mieszkańcach Bydgoszcy, w istocie za to, że byli Polakami, mogą świadczyć m.in. dowody, których dostarczyli sami Niemcy.

B.P. – Jakie to dowody?

W.K. – Z jednej z notatek niemieckiej policji w Bydgoszcy wynika, że ta sama niemiecka mieszkanka po raz kolejny wskazuje następujących Polaków jako zabójców swego męża, oczekując ich aresztowania i stracenia. Z notatki wynika jednakże, że dla jej autora owa Niemka nie jest wiarygodnym świadkiem, gdyż sam wątpi, by wszyscy wskazywani przez nią Polacy mogli przyczynić się do śmierci jej męża. Dowody na zbrodniczy charakter działalności niemieckich sądów w Bydgoszcy znajdujemy także w aktach polskich procesów, w których skazywano hitlerowskich zbrodniarzy.

B.P. – Dochodzimy jednak do sprawy dość trudnej. Czy możemy dziś bez wątpliwości akceptować wyroki polskich sądów z lat czterdziestych w sprawach takich właśnie jak wydarzenia w Bydgoszcy? Bądź co bądź te same sądy skazały na śmierć czy długoletnie kary więzienia wielu zasłużonych polskich patriotów.





W.K. – Najpierw chcę powiedzieć o atmosferze panującej w pierwszych tygodniach po wejściu Niemców do Bydgoszczy. Szefem policji w Bydgoszczy został niejaki Max Henze, osądzony i skazany na karę śmierci przez polski sąd. Wyrok wykonano. Jesienią 1939 r. Henze wygłosił na rynku w Bydgoszczy porywające przemówienie do policjantów i członków Selbstschutzu, mówiąc: „my, starzy żołnierze Führera, przybyliśmy tu, by zrobić porządek z polskimi podludźmi. Wyciągniemy ich z ich nor i zlikwidujemy”. Przemówienie wydrukowała niemiecka gazeta, której egzemplarz okazał prokurator w procesie przeciwko Maxowi Henze przed polskim sądem. Oskarżony przekonywał sąd, że wszystkim winni są dziennikarze, gdyż przekręcili sens jego słów, które nie wyrażały wrogości ani nawet niechęci do Polaków. – Gdy przeczytałem to przemówienie – wywołał Henze przed sądem – poradziłem się mojego doradcy prawnego, co mogę uczynić wobec wydrukowania mojego przemówienia w sposób zmieniający jego sens. Adwokat miał odpowiedzieć: „nic pan nie może zrobić, Herr Kommandant, ponieważ w Bydgoszczy jeszcze nie obowiązuje nasza niemiecka ustawa prasowa, która pozwoliłaby panu wystąpić z wnioskiem o sprostowanie”. Wobec tego – konkludował Max Henze – nie może on ponosić odpowiedzialności za słowa włożone mu w usta przez nierzetelnych prasowych sprawozdawców.

P.K. – Powinien zwrócić się do polskiego adwokata, żeby według polskiego prawa zażądać ukarania nierzetelnych dziennikarzy.

W.K. – Mówię o tym dlatego, że chcę przy okazji uzasadnić pewną tezę, która jest dla nas ważna. Procesy Niemców toczony przed polskimi sądami po wojnie były uczciwymi procesami, pomimo że był to przecież okres stalinizmu, w którym seryjnie wydawano wyroki śmierci na najlepszych Polaków, bohaterów walki z niemiecką okupacją. Taka ocena opiera się na aktach procesów sprawców zbrodni nazistowskich, które na szczęście się zachowały i które zgromadził IPN. Lektura tych akt ukazuje, z jaką cierpliwością sądy wysłuchiwały wszystkich argumentów podnoszonych przez oskarżonych w pełni korzystających ze swego prawa do obrony. Sąd nie przerywał także Maxowi Henze – wszystkie jego argumenty zostały wysłuchane i przytoczone w protokole, także i takie, które miały charakter groteskowy. Dziękuję Bogu, że sądy w tym okresie z takim pietyzmem prawnym sądziły sprawców zbrodni nazistowskich i przeżywam szczególną satysfakcję, gdy w aktach procesów znajduję nazwisko prokuratora Mieczysława Siewierskiego, mistrza mojego mistrza, którym był prof. Jan Waszczyński. Mieczysław Siewierski pracując na Uniwersytecie Łódzkim, był jednocześnie prokuratorem Najwyższego Trybunału Narodowego. Prof. Siewierski był jednym z tych, którym dziś zawdzięczamy, że polskie procesy sprawców zbrodni nazistowskich spełniały warunki uczciwych procesów, określane obecnie w państwie prawnym. W aktach procesu Alberta Forstera, gauleitera Gdańska i Prus Zachodnich, znalazłem opinię prokuratora Siewierskiego, że korzystanie przez prezydenta Bolesława Bieruta

z prawa łaski w stosunku do Forstera nie byłoby uzasadnione, gdyż dowiedziano oskarżonemu, zgodnie z wymogami prawa, popełnienie najcięższych zbrodni. Prokuratora Siewierskiego wkrótce po procesie Forstera aresztowano, a z akt, które zgromadził IPN, wynika, że Albert Forster i jego oskarżyciel Mieczysław Siewierski znaleźli się na tym samym oddziale więzienia na Mokotowie. Kiedy przywieziono Alberta Forstera na Mokotów w celu wykonania na nim wyroku śmierci w dniu 28 lutego 1952 r., w tym samym więzieniu siedział skazany na karę pięciu lat więzienia jego niedawny oskarżyciel Mieczysław Siewierski. Jakież to wstrząsający paradoks, pokazujący realia naszego sądownictwa z tego okresu.

B.P. – O co właściwie oskarżano prokuratora Siewierskiego? To może wątek poboczny, ale bardzo ciekawy, przywodzący na myśl pamiętne Rozmowy z katem Kazimierza Moczarskiego.

W.K. – Proces przeciwko Mieczysławowi Siewierskiemu był absurdalny – zarzucono mu, że jako przedwojenny prokurator oskarżał komunistów, a w okresie swej pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości wyznaczał sędziów do udziału w komisjach wyborczych przeprowadzających wybory na mocy „konstytucji o charakterze faszystowskim” z 1935 r. W ten sposób oskarżony Siewierski miał przyczyniać się do faszyzacji życia w kraju, za co sąd skazał go na podstawie dekretu o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego.

W czasach stalinowskich zapadały takie wyroki. Jest współcześnie niestychanie trudne do wytłumaczenia, zwłaszcza moim niemieckim rozmówcom, którzy mnie o to pytają, że procesy przeciwko sprawcom zbrodni nazistowskich skazywanym w okresie stalinizmu w Polsce były procesami uczciwymi. W takich rozmowach proszę, by pytano o konkretny proces. Wtedy można sięgnąć do akt i sprawdzić, jak ten proces przebiegał. Przytłaczająca większość procesów przeciw zbrodniarzom nazistowskim była prowadzona uczciwie, choć stwierdzenie to nie zawsze przekonuje moich rozmówców, którym trudno jest pojąć polski paradoks: w tym samym czasie toczą się uczciwe procesy, w których oskarża Siewierski, a wkrótce odbywa się jego własny proces z takimi zarzutami, jakie państwu cytowałem. Jednakże nie ci sami sędziowie sądzili Forstera i Siewierskiego, nie ci sami prokuratorzy oskarżali.

P.K. – Jak postępowano z dywersantami złapanymi w Bydgoszczy? Czytając zbiór relacji wydanych przez Edwarda Serwańskiego na początku lat osiemdziesiątych, natrafiłem na informację, że nie wszyscy dywersanci byli rozstrzeliwani od razu na ulicy, tylko gromadzono ich w punktach zbórnych, gdzie zajmowali się nimi wojskowi prawnicy, którzy prowadzili formalne śledztwa. Czy udało się dotrzeć do jakichś akt dotyczących właśnie tych śledztw? Czy jakieś zeznania świadków się zachowały, czy jakieś wyroki ewentualnie zostały spisane?



W.K. – Mamy relacje świadków, które wskazują na takie właśnie postępowanie i nie mam wątpliwości, że są to relacje prawdziwe. Także sami niemieccy świadkowie mówili, że zwalniano niektórych z zatrzymanych Niemców, po krótkim postępowaniu, którego celem było ustalenie, czy chodzi o dywersantów, czy też osoby przypadkowo zatrzymane. Relacje te mają ważne znaczenie dla formułowania ocen prawnych, o których mówimy z tego względu, że dowodzą, iż polskie władze nie dokonywały zabójstw niemieckich mieszkańców Bydgoszczy z powodu ich przynależności narodowościowej ani też zabójstw takich nie inspirowały, ani nie tolerowały, co sprawia, że zabójstwa faktycznie dokonane nie miały charakteru zbrodni przeciwko ludzkości. Dziś wracamy do śledztw w sprawach zbrodni nazijskich popełnionych na Polakach masowo rozstrzeliwanych i skazywanych na śmierć za udział w zdarzeniach 3 i 4 września, także z tego względu, że śledztwa te zawiesiliśmy w momencie przekazania ścigania władzom niemieckim. W większości wypadków śledztwa są niezakończone w tym sensie, że nie otrzymywaliśmy końcowych postanowień niemieckich prokuratur, które zawierałyby uzasadnienie prawne ocen tych zdarzeń.

B.P. – Chciałabym w naszej rozmowie przypomnieć dialog dwóch postaw dotyczących „bydgoskiej krwawej niedzieli”: prof. Włodzimierza Jastrzębskiego w opublikowanej ostatnio jego wypowiedzi i niemieckiego autora Güntera Schuberta. Czy ten swoisty dialog w jakikolwiek sposób zmienia widzenie, a może inaczej, czy ujawnia jakieś fakty, które nie były jeszcze przedmiotem badania przez Główną Komisję?

W.K. – W moim przekonaniu dialog ten nie zmienia niczego z tego, co tutaj powiedziałem na temat ocen prawnokarnych. Natomiast dialog ten jest źródłem istotnej faktografii zabójstw niemieckich ofiar, które nie stanowią przedmiotu śledztwa z powodów przedstawionych w naszej rozmowie. Jest ważne, byśmy wiedzieli, ilu dokonano „zwykłych zabójstw”, które dziś nie mogą być ścigane z powodu przedawnienia. Ważne jest, byśmy wiedzieli, ilu sprawców tych zbrodni powinno być osądzonych przez polski wymiar sprawiedliwości na podstawie polskiego kodeksu karnego, zanim upłynął termin przedawnienia. W atmosferze zdarzeń z 3 i 4 września w Bydgoszczy mogły dochodzić do głosu także najgorsze ludzkie instynkty. Warto o tym wiedzieć.

B.P. – Pana wypowiedź zawiera ocenę wydarzeń przez prawnika karnistę. Odrębnym zagadnieniem jest ich ocena moralna, a jeszcze innym poznanie wszystkich uwarunkowań – społecznych, politycznych itd. – towarzyszących tym wydarzeniom. Porządków tych nie należy mieszać.

W.K. – To bardzo trafna refleksja. Każde odkrycie nowego dowodu, dokumentu wymaga oceny ich wartości dowodowej uwzględniającej ową wielowarstwowość zdarzeń, których dotyczą. Ale takie ustalenia

czynimy po to, by odpowiedzieć na pytanie, jaką prawdę prawną ten dokument potwierdza albo jaką neguje. Z całą pewnością badanie dowodu czy dokumentów wyrwanych z kontekstu rzeczywistości, w której powstawały, nie pozwoli ani na umocnienie, ani też na zmianę ocen prawnych. Pragnę jednak w tym miejscu zaznaczyć, co różni pracę historyka od pracy prokuratora. Prowadząc studia historyczne nad zdarzeniami, można ich ocenę sformułować w trakcie dociekań, a nawet po ich zakończeniu w podsumowaniu studiów. Prokurator zaś, wydając postanowienie o wszczęciu śledztwa, w jego uzasadnieniu musi sformułować i uzasadnić ocenę prawną tego, co stanowi przedmiot śledztwa, musi wykazać, że dowody i dokumenty, którymi dysponuje, uzasadniają kwalifikację prawną przyjętą przez niego za punkt wyjścia dla śledztwa.

B.P. – Bywa jednak, że ocena wartości odnajdywanych dokumentów zależy od interpretacji.

W.K. – Zgoda, jeżeli przez pojęcie interpretacji rozumieć będziemy wykładnię treści dokumentu i jej ocenę dokonaną na podstawie normy prawnej. Niech mi będzie wolno posłużyć się przykładem z ubiegłego tygodnia. Oto zwrócił się do Głównej Komisji obywateli amerykański narodowości niemieckiej, mówiąc – jestem synem oficera z niemieckiej łodzi podwodnej U-35, której dowódca, kapitan Werner Lott, był w brytyjskiej niewoli. Dowiedziałem się – wywodził mój rozmówca – że w IPN coś wiecie na temat rozmów polskich i brytyjskich władz z władzami III Rzeszy o zamianie tego dowódcy na aresztowanego przez Niemców polskiego oficera. – Po zapoznaniu się z pozytywnymi opiniami o zainteresowanym jako autorze przygotowywanej do druku książki o U-35, zdecydowałem się mu pomóc. W korespondencji, którą prowadziłem w tej sprawie z zagranicznymi partnerami, pojawiło się określenie „bohaterski kapitan Lott”. Musiałem zaprotestować wobec przymiotnika „bohaterski”, a to dlatego, że kapitan Kriegsmarine Lott uczestniczył w wojnie napastniczej mającej przynieść tysiącletnie panowanie zbrodniczego państwa, jakim była III Rzesza. Dzięki historykom oczywiście wiem, że dowodzony przezeń okręt został zatopiony 29 listopada 1939 r. na Morzu Północnym przez brytyjskie niszczyciele *HMS Kingston*, *HMS Icarus* i *HMS Kashmir*. Wcześniej zaś U-35 zatopił grecki statek s/s *Diamatis* niemal demonstracyjnie przestrzegając wszystkich konwencji dotyczących wojny na morzu, a więc ostrzegając i ratując załogę. Okręt Lotta trafił następnie na okładkę amerykańskiego magazynu „Life”, a jego historia posłużyła do reklamy... amerykańskiej gumy do żucia. Trudno o lepszy przykład niemieckiej propagandy wojennej. Nie do pomyslenia jest jednak, bym wpisał się w konwencję słowną tej propagandy, choćby milcząco akceptując określenie „bohaterski kapitan” z tego tylko powodu, że nie mamy dokumentów, które wskazywałyby na popełnienie przez niego, jako sprawcę, zbrodni wojennych na morzu. Pomoc merytoryczna, jakiej udzieliliśmy zainteresowanemu, nie dotyczyła zatem „bohaterskiego” niemieckiego kapitana,



lecz wskazywała, że miał on być wymieniony na bohaterskiego w naszym rozumieniu, polskiego kapitana kontrwywiadu Antoniego Kasztelana, obrońcę Helu, który z pogwałceniem jego statusu jeńca wojennego został bezprawnie aresztowany przez gestapo i skazany na trzykrotną karę śmierci za dokonywanie aresztowań niemieckich szpiegów w okresie przedwojennym w Gdyni. Niemieckie akta śledztwa, prowadzonego przeciwko kapitanowi Kasztelanowi, pokazują z jednej strony wszystkie aspekty bezprawia, z drugiej zaś strony bohaterską postawę skazanego wobec niego. Bezprawie to było tak oczywiste, że – jak wynika z końcowej części zachowanego wyroku – jeden z trzech niemieckich sędziów zgłosił *votum separatum*. To dla mnie dokument o wielorakim znaczeniu, dowodzi on bowiem nie tylko oczywistości czynionego przez sąd bezprawia, ale i faktycznej możliwości przeciwstawienia się temu bezprawiu przez jednego z członków składu sędziowskiego. Udostępnione badaczowi tej sprawy dokumenty ukazują, że rozmowy między Brytyjczykami a Niemcami w sprawie zamiany kapitana Kasztelana na kapitana Lotta na pewnym etapie ich zaawansowania zostały przerwane decyzją Joachima von Ribbentropa, niemieckiego ministra spraw zagranicznych, który zakazał ich kontynuowania, wskazując na „nieekwiwalentność” zamiany, w tym znaczeniu, że Polak skazany na trzykrotną karę śmierci przez niemiecki sąd to osoba o zbyt małym ciężarze gatunkowym, by płacić nią za uwolnienie z brytyjskiej niewoli tak wielkiej postaci, jak dowódca niemieckiego U-boat. Niemiecka dokumentacja śledztwa i procesu przeciwko kapitanowi Antoniemu Kasztelanowi – w intencji jej autorów – powstała jako dowód, że oskarżonego skazano i zgilotynowano zgodnie z prawem. Dla mnie dokumentacja ta jest dowodem jeszcze jednej niemieckiej zbrodni przerażającej w swej niegodziwości i patologii myślenia niemieckich nadludzi. W działalności IPN stale natrafiamy na takie dokumenty dotyczące zdarzeń z przeszłości, których rzeczywisty sens prawny ustalić można tylko w drodze interpretacji uwzględniającej równocześnie wiele warstw wydarzeń, na co trafnie zwracają państwo uwagę w naszej rozmowie. Tak też ocenić należy szczególnie dowód w sprawie wydarzeń w Bydgoszczy w dniach 3 i 4 września, jakim jest album chwały Selbstschutzu.

B.P. – Zdjęcia, które się w nim znajdują, są rzeczywiście wstrząsające. Kto w rzeczywistości jest na tych zdjęciach?

W.K. – Zdjęcia te przedstawiają zwłoki niemieckich ofiar „polskich zbrodni”, a także polskich „podżegaczy” i „morderców”, z których część zidentyfikowaliśmy jako wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji, w tym nauczycieli i duchownych. Niektóre fotografie zwłok „ofiar”, ze względu na zauważalny stan rozkładu, wskazują, że zwłoki te znacznie dłużej musiały spoczywać w ziemi aniżeli przez krótki czas między zakopaniem ich przez „polskich sprawców” a odkryciem przez Niemców, co miało nastąpić zaraz po zajęciu przez nich Bydgoszczy. Jestem przekonany, że album ten powstał dla propagandowego uzasadnienia zbrodni na Pola-

kach zamordowanych w ramach wcześniej przygotowanej akcji likwidacji polskiej inteligencji. Album kończy się bardzo znamienym hasłem: „to, co czynisz dla swej ojczyzny i swego narodu, jest zawsze słuszne”.

Pytałem Dietera Schenka, dlaczego w grudniu 1939 r. rozwiązano Selbstschutz. Wyjaśniał mi, że Selbstschutz poczuł się na tym terenie tak silny, że przestał słuchać zarówno policji, jak i SS. Jego komanda morderców działała na własną rękę, nie podporządkowując się zwierzchności, dlatego organizacja została rozwiązana, a najsprawniejsi wykonawcy zbrodni wcieleni do SS. W czasie swej działalności Selbstschutz odegrał wiodącą rolę w wymordowaniu 60 tys. Polaków. Schenk poczynił bardzo istotne ustalenia: w zamordowaniu owych 60 tys. Polaków współdziałało około 20 tys. niemieckich sprawców, z których 1701 zostało zidentyfikowanych z nazwiska w 258 prowadzonych po wojnie niemieckich śledztwach. 233 śledztwa zostały umorzone. Tylko w dwunastu wypadkach doszło do sądowego osądzenia zbrodni, za które skazano 10 sprawców. Autor tej statystyki Dieter Schenk podsumowuje ją następująco: *Das ist eine Schande für die deutsche Justiz* (To hańba niemieckiego wymiaru sprawiedliwości). Gdyby nie przeprowadzone w Polsce procesy Forstera, Hildebranta, Henze, trudno byłoby mówić o odpowiedzialności kogokolwiek za ten akt ludobójstwa.

B.P. – Jakie jest obecne stanowisko niemieckiego wymiaru sprawiedliwości wobec tego typu spraw?

W.K. – Pełną zgodność ocen prawnych zbrodni nazistowskich prokuratorzy polskiej Głównej Komisji uzyskiwali zawsze w toku współpracy z prokuratorami niemieckiej Centrali Ścigania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu. Prokuratorzy tej Centrali – wybitni prawnicy karniści, prowadzili wstępne śledztwa na podstawie ustaleń i dokumentacji przekazywanej z Polski. Po zakończeniu wstępnego postępowania i sformułowaniu kwalifikacji prawnej w kategoriach zbrodni narodowosocjalistycznej prokuratorzy z Ludwigsburga przekazywali śledztwa do dalszego prowadzenia właściwym prokuratorom powszechnym, które umarzały większość postępowań, w szczególności z powodu niestwierdzenia cech zbrodniczego działania (np. we wszystkich sprawach zabójstw ludności cywilnej dokonanych przez Wehrmacht we wrześniu 1939 r. w Polsce) lub z powodu niewykrycia albo śmierci sprawców. Przed miesiącem spotkałem się z prokuratorami z Ludwigsburga z okazji czterdziestopięciolecia działalności Centrali w celu omówienia spraw bieżącej współpracy. Od końca lat sześćdziesiątych w Republice Federalnej Niemiec ścigana jest tylko jedna postać zbrodni nazistowskiej – morderstwo. Dlatego też we wszystkich przekazywanych z Polski śledztwach staramy się wskazać, że dokonywanym przez niemieckich sprawców zabójstwom towarzyszyły niskie pobudki lub okrutny sposób uśmiercania ofiar, bądź też podstęp sprawców. Przy okazji rocznicy działalności Centrali w Ludwigsburgu niemiecka prasa przypomniała o koktajlach Mołotowa, którymi nieznanymi sprawcy ob-



rzucali budynek Centrali, bombie podłożonej pod drzwiami jej siedziby, a także o publicznej wypowiedzi nadburmistrza tego miasta, który nazwał Centralę plamą hańby na pięknym Ludwigsburgu. Sądzę, że zarówno stan prawny w Niemczech, jak i praktyka ścigania zbrodni nazistowskich nie ulegną zmianie. Odnotować jednak trzeba, że w 1998 r. Bundestag uchwalił ustawę o uznaniu za nieważne z mocy prawa wyroków wydanych przez nazistowskie sądy w czasie II wojny światowej. Wyroki te uznano za nieważne – jak napisano w komentarzu do ustawy – ryczałtowo, ale stwierdzenie nieważności konkretnego wyroku wydaje niemiecka prokuratura, wystawiając stosowny dokument. Łączyłem tę ustawę w pewnej mierze ze sprawą unieważnienia w maju 1998 r. przez niemiecki sąd wyroków skazujących bohaterskich obrońców Polskiej Poczty w Gdańsku, która to sprawa ukazała pełny wymiar bezprawia czynionego przez niemieckie sądy. Okazało się, że – co wnoszę z rozmów z niemieckimi prawnikami – jedną z rzeczywistych przyczyn uchwalenia tej ustawy przez Bundestag był fakt pozostawiania w mocy wyroków skazujących niemieckich żołnierzy w ostatnich miesiącach wojny za dezercję lub defetyzm. Skazanym ani ich rodzinom nie przysługiwały po wojnie świadczenia z tytułu rent i emerytur wojskowych. Intencją niemieckiego ustawodawcy było przeto uznanie tych wszystkich wyroków za nieważne z mocy prawa po to, aby otworzyć drogę do stosownych świadczeń dla osób uprawnionych. Niezależnie jednak od intencji ustawodawcy leżących u podstaw ustawy, korzystamy z jej przepisów, występując z wnioskami o stwierdzenie nieważności wyroków skazujących Polaków, wydanych przez nazistowskie sądy w okresie okupacji. Problem proceduralny, przed którym stanęliśmy, jest następujący: niemiecka ustawa mówi, że właściwa do wydania oświadczenia o nieważności konkretnego wyroku jest ta prokuratura, w której okręgu działał sąd, jaki wydał ten wyrok.

B.P. – Jeżeli te wyroki były wydawane na terenie okupowanej Polski, to która niemiecka prokuratura jest właściwa do rozpatrzenia polskiego wniosku?

W.K. – Wypracowaliśmy wspólnie z prokuratorami z Ludwigsburga następujący tryb postępowania: przekazujemy im treść wyroku niemieckiego sądu z naszą oceną prawną, oni zaś kierują polski wniosek za pośrednictwem Prokuratora Generalnego do Sądu Najwyższego Republiki Federalnej, który wyznacza jedną z niemieckich prokuratur powszechnych do rozpatrzenia polskiego wniosku. W jednym z pierwszych postępowań wyznaczono prokuraturę w Goerlitz jako właściwą do rozpoznania naszego wniosku o uznanie za nieważny konkretnego wyroku skazującego na karę śmierci. Do niemieckiej ustawy załączony jest wykaz aktów prawnych, a także konkretnych przepisów, na których podstawie wydany wyrok uznawany jest za nieważny z mocy prawa. Konsultujemy z prokuratorami z Ludwigsburga naszą argumentację prawną, opartą na sformułowaniu niemieckiej ustawy zawierającym stwierdzenie, że uznaje

się za nieważne wyroki wydane „w szczególności” na podstawie wymienionych dalej w treści ustawy przepisów. Owo sformułowanie „w szczególności” otwiera drogę do argumentacji, według której także inne przepisy, jakie powołał nazistowski sąd za podstawę skazania, choć nie wymienione *expressis verbis* w ustawie z 1998 r., czynią skazanie nieważnym. Przygotowujemy wnioski o stwierdzenie nieważności wyroków skazujących polskich mieszkańców Bydgoszczy za zbrodnie popełnione na Niemcach w dniach 3 i 4 września 1939 r. W uzasadnieniu tych wniosków stwierdzone zostanie to, co starałem się w naszej rozmowie wyartykułować, że nie było dopuszczalne stawianie polskich mieszkańców Bydgoszczy przed niemieckimi sądami z tego względu, że oskarżonym o zabójstwa Niemcom przysługiwał status kombatantów – jeńców wojennych. Niezależnie zatem od podstaw prawnych skazania, powołanych przez niemieckie sądy, wyroki te uznać należy za nieważne. Jeżeli zatem w publikacjach, które ukazały się w ostatnim czasie, wskazywano, że polscy mieszkańcy Bydgoszczy gremialnie dopuścili się 3 i 4 września zabójstw niewinnych Niemców, które generalnie jawią się w kategoriach zbrodni morderstwa, gdyż nie było żadnej niemieckiej dywersji w tym mieście, to z takimi stwierdzeniami nie zamierzam podejmować żadnej polemiki.



Witold Kulesza urodził się 4 maja 1950 r. w Łodzi. Wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej, dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, zastępca Prokuratora Generalnego RP.

Jest profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, specjalistą w zakresie prawa karnego. Tytuł doktora otrzymał w 1982 r. z wyróżnieniem miesięcznika „Państwo i Prawo”, zaś habilitację w 1992 r., także z nagrodą wspomnianego miesięcznika. Kilkaście lat współpracował (społecznie) z Okręgową Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi. W latach 1994–1998 był jej przewodniczącym.

16 marca 1998 r. powołano prof. Witolda Kuleszę na stanowisko dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej.

